

Płomyczek

ok 27 Nr 22

Pismo dla młodszych dzieci

15. VII. 1949



Fot. Film Polsk

Prace przy budowie mostu śląsko-dąbrowskiego i trasy W-Z w Warszawie już są prawie zakończone. 22 lipca ruszą pierwsze tramwaje

Strona 15

WAŻNY DZIEŃ

— Próba się udała — mówił ojciec Tereski, zacierając ręce.

— Jaka próba?...

— Też pytanie. Sprawdzaliśmy dzisiaj linię tramwajową na trasie W—Z. Wszystko działa bez zarzutu. Próbný tramwaj przemknął od ulicy Wolskiej przez tunel i most Śląsko-Dąbrowski aż na Pragę. Przewody elektryczne w porządku, szyny też. Jesteśmy gotowi do uroczystego otwarcia.

— Przecież jeszcze czas...

— Co ty wiesz. Do 22 lipca pozostało wprowadzić jeszcze kilka dni, ale wiele drobnych rzeczy trzeba wykończyć. Oświetlić tunel, wypróbować ruchome schody, uprzątnąć resztki gruzu, ustawić rzeźby, zawiesić lampy elektryczne.

— Czy tylko zdążą? — zaniepokoiła się teraz dziewczynka.

— Zdążą... Zdążymy. — poprawił się ojciec. To przecież nasz robotniczy czyn dla uczczenia piątej rocznicy powstania Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Wszystkie fabryki podjęły z tej okazji różne zobowiązania, które wykonają. My prześlemy Warszawie i całej Pol-

sce szeroką, wspaniałą ulicę Wschód-Zachód, która będzie dumą naszej stolicy.

— Wierzę teraz, że to wszystko będzie wykonane. Ale powiedz mi, tatusiu, coś o Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego.

— Bardzo chętnie, bo to przecież wielkie wydarzenie w naszych dziejach.

Ojciec dziewczynki, żołnierz Dywizji Kościuszkowskiej, obecnie monter, zaczął mówić, a właściwie głośno przypominać chwile, które sam przeżył.

— W letnich miesiącach 1944 roku razem z Armią Radziecką wkroczyliśmy na ziemię polską, by ją wyzwolić z rąk niemieckich. Serca żołnierskie uderzyły mocniej, w wielu oczach pojawiły się łzy.

— Polska...

Po tylu bitwach, po długim, bojowym marszu aż spod Lenino wkroczyliśmy na rodzinne drogi. Aż w głowach się kręciło z radości i szczęścia. W pościgu za wrogiem mijaliśmy wioski i miasta. W drugiej połowie lipca stanęliśmy w Chełmie Lubelskim.



Ostatnie prace

Fot. Film Polski

Ruch był wielki.

Krajowa Rada Narodowa utworzyła Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który miał być tymczasową władzą odradzającej się Polski do kierowania dalszą walką i odbudową zniszczonego kraju.

22 lipca 1944 roku Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (zwany w skrócie P. K. W. N.) ogłosił odezwę do całego Narodu Polskiego, zwaną manifestem.

W gorących słowach wzywał manifest do dalszej, nieustępliwej walki z wrogiem, aż do zupełnego zwycięstwa i do pracy przy odbudowie ojczyzny.

Był to Dzień Odrodzenia Państwa Polskiego. Polska ma być Polską sprawiedliwą — głosił Manifest — Polską robotników i chłopów, Polską bez wyzysku.

Powstanie i odezwa P. K. W. N. jest jednym z najważniejszych wydarzeń w naszej historii, jest momentem zwrotnym. Od tego dnia zaczęła się nowa historia Narodu Polskiego.

— I dlatego ten dzień — dokńczyła dziewczynka ogłoszony został dniem Święta Narodowego.

— Tak, tak.

— Teraz już rozumiem dlaczego w dniu 22 lipca, w rocznicę tego wydarzenia będzie oddana do użytku trasa W—Z.

— Widzisz... — szepnął tatuś i po chwili dodał głośniejszym głosem: — My kroczymy drogą wytkniętą przez P. K. W. N. W codziennej pracy budujemy nowe domy i mosty, wytyczamy nowe ulice, linie kolejowe, fabryki.

Budujemy Polskę Ludową, Polskę Niepodległą.

TRASA W-Z

Nad szumiącą Wisłą
nowy most zawisnął.
Będzie łączył brzegi rzeki,
która pieśni w kraj daleki
niesie z wodą czystą.

A po obu brzegach —
białej drogi wstęga.
Z Pragi się wywodzi,
przez ten most przechodzi
i do Woli sięga...

A ta droga biała
We flagach dziś cała.
Będzie mama z córeczkami
dzwoniącymi tramwajami
dzisiaj nią jechała.

Jadą obie córki,
przez most i pod górę —
tam gdzie dachy błyszczą złote
staromiejskie... Aż tu, co to?!...
A to właśnie tunel.

Jadą córki, jadą
z szykiem i paradą.
Dzięki dzielnym ludziom,
co się dla nas w Polsce trudzą
i budują radość!

Witold Michalski

Jak Wojtuś

został strażakiem

Wiatr szeleści
na jabłoni.
Uciał piosnkę
polny konik.
Skrył się motyl
pawiooki.
Już na niebie
są obłoki,
gdzieś zza lasu,
zza dębiny
płyną:
bury, biały, siny...
Ten jak żagiel,
ten jak wata,
tamten znów
jak gęś siodłata.
Wiatr je pędzi,
płyną lekko.
Wtem zagrzmiało
niedaleko!
Okolicą
echo dudni.
Będzie burza
przed południem!
Błyskawice
tną jak baty,
aż drżą szyby
w oknach chaty.
Siedzi Wojtek w oknie,
patrzy, jak świat moknie.
Wtem huk!
Czy świat się wali?
Pożar! Pożar!
Dom się pali!
Echo grzmotem
odpowiada.



Piorun trafił
w dom sąsiada.
Już cały dach w ogniu
był po małej chwili.
Naraz, słyszy Wojtek,
dziecko w izbie kwili.
To w płonącym domu,
w kolebce z wikliny
placze mały Henio, —
sąsiadowy synek.
Ani jednej chwili
nie ma do stracenia!
Brzdęk! — Wybita szyba!
Wyniósł Wojtek Henia.

Trzeszczą suche belki,
pułap w izbie płonie.
Teraz — do remizy!
Wojtek jest przy dzwonie.

Bim-bam! Na ratunek!
Bije dzwon na alarm.
Żniwiarze głos dzwonu
usłyszeli z dala.

Już biegną strażacy,
sikawka się toczy.
A Wojtek wciąż dzwoni:
Ratunku! Pomocy!

Pożar ugaszony.
Dzielni są strażacy!
— Kto dzwonił na alarm?
— pyta Bonifacy.

I pytają ludzie ciekawi
dokoła:

— Kto nas tu dzwonieniem
do pożaru wołał?

I pytają ludzie:
— Kto małego Henia
wyniósł w czasie burzy
z dymu i płomienia?

Patrzą ludzie: Wojtek,
przy strażackim dzwonie,
rozciera zmęczone
tym dzwonieniem dłonie.

Sam komendant straży
do Wojtka podchodzi:
— Zuch jesteś, mój chłopcze.
Chciałbym cię nagrodzić.

Ściska dłoń, wąs gładzi,
mile się uśmiecha:
— Czyn ten ciebie, Wojtku,
przemienił w Wojciecha.

Niech się wszyscy wkoło
dziś dowiedzą o tym:
zostajesz strażakiem,
będziesz miał hełm złoty!

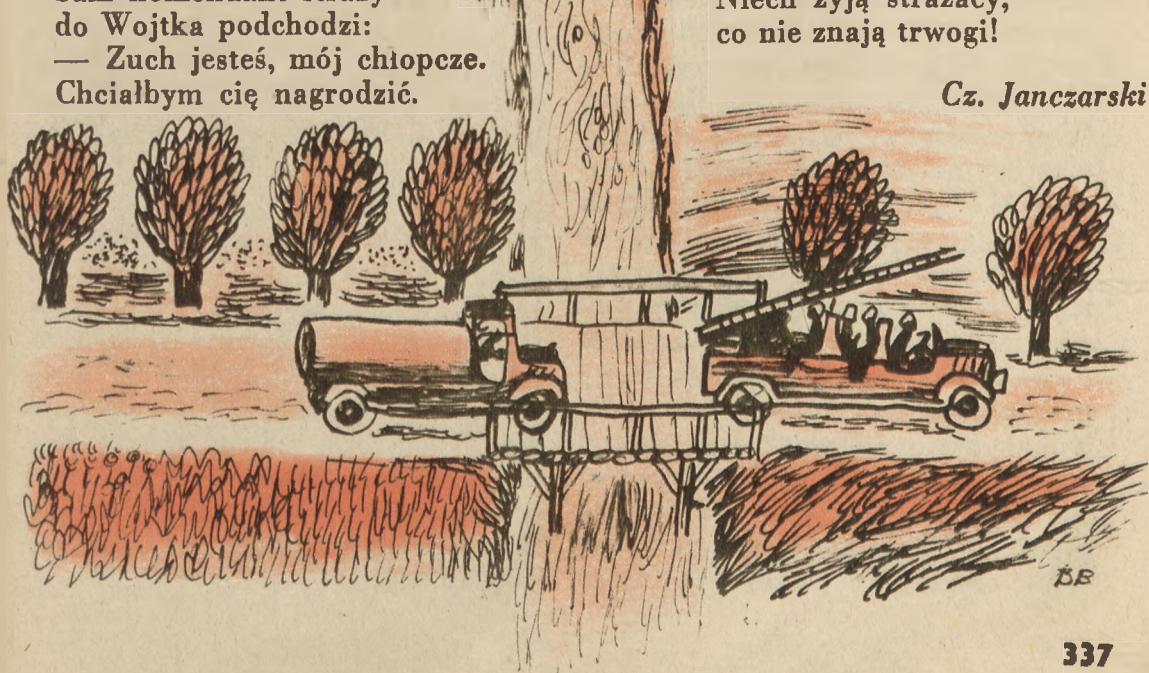
Spójrzcie: pędzi drogą
straży oddział chwacki.
Wojtek jedzie pierwszy,
gra sygnał strażacki.

Pędzi straż ogniowa
przez drogi i dróżki.
Wybiegają z domów
całe Kozie Różki.

Wojtek-trębacz siedzi
tuż przy Bonifacym.
— Patrzcie, patrzcie, ludzie,
to nasi strażacy!

Spieszą na ratunek.
Uciekajmy z drogi!
Niech żyją strażacy,
co nie znają trwogi!

Cz. Janczarski



O RAKU NIEBORAKU



Zastanówmy się najpierw nad waszymi dotychczasowymi wiadomościami. Zaczniemy od barwy. Na wszystkich obrazkach maluje się raki jaskrawym szkarłatem, ba, nawet jeśli ktoś się zarumieni, mówimy o nim, że spiekl raka. Kto jednak widział żywego bohatera naszej opowieści, powie, że rak jest rzeczywiście czerwony, ale dopiero po ugotowaniu. Wprawilbym was jednak w kłopot, gdybym zapytał — dlaczego? W pancerzu swoim posiada on różne barwki: i zielony, i niebieski, i czerwony, i brązowy. Czasem niektórych jest mało, a przeważa niebieski — i wtedy rak bywa właśnie tego koloru; czasem znowu jest zielony, najczęściej jednak wszystkie one razem — do spółki — dają wrażenie barwy czarnobrunatnej. Z tych barwików jednak tylko czerwony jest trwały, wszystkie inne zaś w temperaturze stu stopni rozpadają się i całkowicie płowieją. Pozostaje zatem na placu tylko czerwień i dlatego tę barwę

przybiera zawsze rak po ugotowaniu.

A teraz druga sprawa: chodzenie tyłem. Kto puścił tę plotkę przed wielu, wielu laty — nie wiem. Każdy jednak, kto ją powtarza, widocznie nigdy nie obserwował dłużej żywego raka. Rak, zaniepokojony, rzeczywiście cofa się tyłem, wystawiając ku niebezpieczeństwu swoje potężne szczypce; robi to jednakże i pies, warcząc i wystawiając kły, gdy napastuje go jakiś poważny nieprzyjaciel, i kot, i lew w obliczu bliskiego niebezpieczeństwa. Któż bowiem zwracałby się bezbronną stroną do wroga? Chyba po to, aby ułatwić mu zaatakowanie. Dopiero wycofawszy się z zasięgu niebezpieczeństwa, można, jak się to mówi „podać tył“ i ratować się ucieczką. To samo robi rak. Normalnie jednak zawsze chodzi przodem, toteż tę wiadomość o „chodzeniu tyłem“ należy — jak to powiedział Krasicki — włożyć między bajki.

A teraz może zastanowimy się, czy jest to zwierzę wodne czy lądowe. Taką sprawę rozstrzygnąć trzeba porządnie. Koniec końcem, zazwyczaj spotykamy go w wodzie. Dobrowolnie na ląd wychodzi bardzo rzadko. Jedną z najistotniejszych jednak pod tym względem rzeczy będzie to, jak rak oddycha: czy powietrzem atmosferycznym, czy też korzysta z tlenu rozpuszczonego w wodzie. Otóż na to mogę wam odpowiedzieć z całą pewnością. Oddycha skrzelami, a więc tlenem z wody. Powstaje zatem pytanie, dlaczego ryby wyjęte na ląd giną już zazwyczaj po kilku godzinach, a nasz rak wytrzymuje te warunki w ciągu kilku dni?

Tę sprawę można wyjaśnić dosyć prosto.

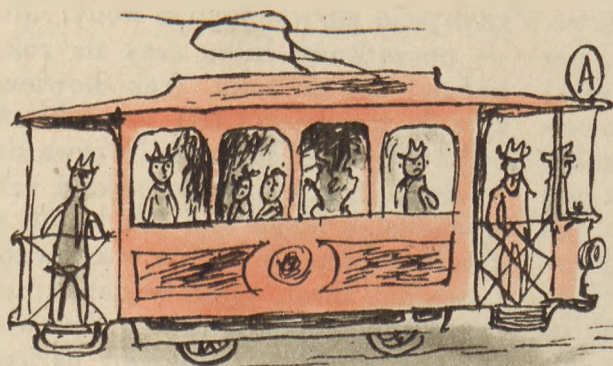
Ryby mają swe delikatne skrzela, znajdujące się po dwóch stronach głowy, osłonięte bardzo nieszczelnie, toteż nie duszą się na powietrzu, jak to wielu ludzi przypuszcza, wręcz przeciwnie, możliwość oddychania mają lepszą nawet, niż rak, tylko skrzela ich po prostu wysychają i wtedy już wcale funkcjonować nie mogą. Natomiast rak ma skrzela umieszczone dużo przezroźniej: znajdują się one po dwóch bokach ciała, każde u nasady jednej nogi. Wszystko to jest ukryte pod pancerzem, w komorze, do której prowadzi nieduży otwór. Chociaż raka wydobyliśmy na świeże powietrze, w jego komorze skrzelowej znajduje się jeszcze dużo wody. Paruje ona i wysycha przez jeden niewielki otvorek, a więc bardzo wolno, tak jak o wiele wolniej wysycha woda w butelce, niż wylana na płaski talerz.

Jednak jest pewien moment, w

którym rak zdechłby bardzo szybko, gdybyście go wydobyli z wody. Oto — początkowo kilka razy na rok, później raz do roku (rak bowiem żyje do trzydziestu lat) — gubi on całkowicie swój pancerz. Nazywa się to linka. Stary pancerz pęka i rak wychodzi z niego, tak jak lotnik z kombinezonu, ale już nie w sztywnej i twardej zbroi, tylko w delikatnej i miękkiej skórcie. Otóż — wyjęty wówczas z wody — wysechłby bardzo szybko. Jest w tym czasie w ogóle bezbronny i nieporadny. Każdy wróg może go łatwo skaleczyć i zranić, twarde szczypce są w tej chwili miękkie i wiotkie. Toteż rak na linienie wybiera sobie jakąś ciemną, najodleglejszą kryjówkę i siedzi tam, dopóki pancerz nie wzmocni się i nie stwardnieje, co trwa zwykle około tygodnia. Organizm raka zresztą był przezorny: już na kilkanaście dni przed linką wyciągał ze starego pancerza soki wapienne i zmagazynował je w postaci dwóch soczewkowatych kamyków na własnym żołądku. Tych samych soli używa potem do wzmocnienia swej nowej zbroi.

Dziwi was może, dlaczego rak, mając tak znakomitą ochronę, pozbywa się jej co pewien czas. Chwila zastanowienia jednak wystarczy, aby zrozumieć, iż jest to dla niego konieczne — inaczej przecież nie mógłby rosnąć. Gdy twarda zbroja nie bardzo już może pomieścić ciało rosnącego raka, zostaje zrzucana, a nowa, obszerniejsza, pozwala mu przez pewien czas powiększać swe rozmiary. Skoro znów stanie się zbyt ciasna — podzieli los poprzedniczki.

dr Jan Żabiński



PRZYJEM

— Pora, pora jest, a jakże
Odrzekł tatuś i ja także.

— Mydła!

— Brzytwy!

— I grzebienia!...

Ubraliśmy się raz-dwa.

Co się tyczy zaś golenia:

tatuś golił się,

nie ja.

Pokrzepiwszy się herbatką,

tramwajami

„A” i „W”

poprzez Moskwę,

ja i tatko,

przelecieliśmy co tchu.

Dojechawszy do strzelnicy

Płaszcz i czapka —

na wieszaku.

Teczka — także niezabrana.

Wolny dzień ma tatuś,

czyli:

spędzi ze mną go od rana.

Przyjemności

będą liczne.

Lecz czy czasu będzie dosyć

na Muzeum Botaniczne?...

Może lepiej

gości sprosić?...

Może części konia złożę

i naprawię go starannie?...

Lub kupimy sobie może

Prawdziwego żółwia

dla mnie?...

Albo może, jeśli

sznurek

w domu znajdzie się

i klej,

skleję szybko nim

tekturę

i latawiec

zrobię z niej!

W górę, w chmury,

w dal nieznaną

mój latawiec pomknie sam...

— A tymczasem —

rzekła mama —

czy nie pora wstawać wam?



WY DZIEŃ

strzelaliśmy tam we dwóch
do blaszanej niedźwiedzicy:
w ucho,
w czoło,
w oko,
w brzuch...

Niebo barwę dziś błękitną
ponad Moskwą miało, gdy
w parkach kwiat jaśminu
kwitnął
i w ogrodach kwitły bzy.

Później poszliśmy do ZOO,
gdzie karmiono tego dnia
fokę śliską i wesołą,
strusia
i morskiego psa.



Stoń zajęty był jedzeniem,
które mu podrzucił ktoś.
Obok
mokło coś w basenie —
hipopotam
był tym „coś”.

Gdy zrobiło się gorąco,
że topnieliśmy jak wosk,
zobaczyliśmy stojącą
z dala budkę, taki kiosk.

Ze srebrnego tam kranika
tryskał zimny, słodki płyn.
Tatusь dał mi kilka łyków,
a ja wiadro
wypilbym.

Wracaliśmy tramwajami,
wiozłem z sobą bukiet bzu.
Ledwo szliśmy już
schodami,
wymęczeni po tym dniu.

Oto
dzwonek nasz znajomy
dzwoni chwilę, albo dwie...
Ucichł.

O,
jak cicho w domu,
kiedy w domu nie ma mnie!!

S. Marszak

(przekład Janusza Minkiewicza)

PRAWDZIWY SKARB

(dokończenie)

W pośpiechu wpadli do ciemnego korytarza, skąd powiało chłodem i wilgocią. Ręce im drżały, serca łomotały w piersiach. Szukali długo, nic jednak nie znaleźli:

ani złota,
ani pereł,
ani drogich kamieni.

Przygnębieni i rozczarowani wyszli na zewnątrz. Tu dopiero poczuili, jak są zmęczeni. W milczeniu siedli na rozrzuconych kamieniach.

Zrozumieli nagle złudność swoich obliczeń.

Poszukiwań jednak nie przerwali. Przekopali cały dziedziniec i komnaty, opukali ściany, wciskali się w każdy kąt — skarbu jednak nie znaleźli. Legenda o tajemniczych bogactwach rozwiązała się jak mgły poranne zwiastujące pogodny dzień. Wyprawa była daremna.

— Jutro wyruszamy w dolinę — zdecydowali układając się do snu. — Skarbu nie ma, a zapasy żywności już się kończą.

Noc była widna. Księżyc ślizgał się po ruinach zamczyska kładąc jasne smugi na ciemne tło murów. Ciszę mącił czasem huk spadającego kamienia lub głosy ptaków, które w szczelinach skalnych miały liczne gniazda.

Młodzieńcy kolejno czuwali.

Właśnie jeden z nich chodził wolnym krokiem rozmyślając nad nieudaną wyprawą, gdy posłyszał przytłumiony szept.

Staął. Na razie nie rozróżniał pojedynczych słów, które brzmiały głucho, jak gdyby wydobywały się



z ziemi. Powoli nabierały jednak wyrazistości i mógł zupełnie dobrze zrozumieć każdy wyraz:

— Skarb znajdziecie w ziemi u podnóża góry, tylko trzeba go cierpliwie szukać...

Głos ten brzmiał przed nim, za nim i pod nim, jak gdyby szeptały wszystkie skały, ruiny, zamek, błady księżyc i całe góry. Każde słowo brzmiało dobitnie:

— Skarb znajdziecie u podnóża...

Młodzieniec przetarł oczy nie wiedząc, czy to jest sen, czy też naprawdę słyszy tajemnicze słowa.

— Skarb znajdziecie w ziemi...

Dotknął ręką rozpalonego czoła. Przetarł oczy. Nie spał...

Co to wszystko ma znaczyć?

Rano opowiedział o zdarzeniu towarzyszom wyprawy.

— Ja też słyszałem — przyznał się drugi — myślałem jednak, że to był sen.

— I ja, ja, ja — mówili teraz wszyscy — ale nie damy się już skuścić żadnym skarbom.

— Może spróbujemy jeszcze raz — radzili inni.



— Zobaczmy...

Ruszyli do domów, gdzie oczekiwano ich z wielką niecierpliwością.

Mężczyzna czuwający na najwyższym drzewie spostrzegł ich z daleka na pochyłości odsłoniętego zbocza.

Podał umówiony sygnał i najszybciej, jak tylko umiał, zsunął się w dół krzycząc wniebogłosy:

— Idą, idą!

Widząc zaś pytające spojrzenia ludzkie dodał szybko:

— Niosą skarb na pewno, gdyż posuwają się bardzo wolno.

— Hura, hura! — krzyczeli radośnie ci wszyscy, którzy już zdążyli przybiec.

— Hura, hura! — szło echo bukowymi lasami. Plac wypełnił się jak

wówczas, gdy trzydziestu młodzieńców wyruszyło na zdobycie skarbu.

— Już powinni być tutaj — oznajmiał z ważną miną ten, który pierwszy ich spostrzegł.

— Pewnie ciężar skarbu nie pozwala im iść zbyt szybko — wyjaśnił inny.

— Czekajmy cierpliwie.

Kilkunastu podrostków wybiegło na spotkanie chcąc zapewne chociaż przez chwilę znaleźć się w kręgu sławy bohaterskich zdobywców skarbu.

Tłum czekał cierpliwie.

Nagle zza wzgórza wychyliła się postać...

Jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta, dziewiąta...

— Hura! hura, hu...

Umilkli nagle, gdyż zauważyli, że młodzieńcy wracają bez tobołów.

Czyżby skarbu nie znaleźli?

— Macie skarb? — krzyknął ktoś z tłumu.

Nie usłyszeli żadnej odpowiedzi, chociaż odległość pomiędzy powracającymi a zebranymi była już niewielka.

— Znaleźliście bogactwa?

I na to pytanie nie otrzymali żadnej odpowiedzi.



Zrozumieli wszyscy, że wyprawa była nieudana, a nadzieje na skarb daremne.

Kiedy jednak nieco później młodzieńcy opowiedzieli o wydarzeniu ostatniej nocy na szczycie górskim, postanowiono szukać skarbu w ziemi. Kobiety i dzieci zbierały teraz zboże, a mężczyźni w poszukiwaniu skarbu przekopywali pola u podnóża gór.

Nie żalowali wysiłku.

Każde zgrzytnięcie łopaty o kamień budziło nadzieje, że to właśnie skarb, każdy dzień rozpalał chęć posiadania bogactw...

Późną jesienią wszystkie pola aż do pobliskich lasów były przekopane dokładnie.

Nie znaleźli jednak

ani złota,

ani pereł,

ani drogich kamieni.

Znaleźli natomiast bardzo cenną rzecz, cenniejszą chyba niż złoto, perły i kamienie. Odkryli potęgę wspólnej pracy i gromadnego wysiłku. Rozległe pola, które leżały dotychczas odłogiem, gdyż uprawienie ich wydawało się niemożliwe, były teraz przekopane i prosiły o ziarno.

Zasiano zboże.

Obrodziło jak nigdy. Gdzie oko

ludzkie wybiegło, widziało latem złote łany uginające się pod ciężarem pełnych kłosów.

Minęły lata.

Ludzie zapomnieli o legendarnym skarbie, który miały kryć ruiny, gdyż prawdziwe bogactwo dawała im teraz praca. Młodzieńcy, którzy wyprawiali się niedawno na szczyt, a później przekopywali ziemię, budowali teraz wspólnie nowe domy, zagrody. Wysokie brzegi rzek łączyli lukami pięknych mostów.

Już nikt nie oglądał się na ukryte skarby, jeno własną pracą, własnym wysiłkiem budował.

U podnóża legendarnej góry wyrastało piękne osiedle ludzkie.

Dziś wznoszą się tam wygodne domy otoczone bujnymi ogrodami pełnymi owoców, traktory orzą ziemię, motory poruszają maszyny, elektryczne lampy oświetlają ulice...

Nikt już dzisiaj nie żyje z uczestników wyprawy po ukryte bogactwa, ale żyje pamięć o budowniczych, co wzniesli miasteczko u stóp góry złudnych skarbów.

Pamięć i sława pracy ludzkiej jest bowiem najtrwalsza i najpiękniejsza.

St. Aleksandrzak



las

Jakże ciebie nie pokochać,
mój zielony lesie!
Szum poważny starodrzewu
po tobie się niesie.

Rudokitki, białobrzuski —
wesole wiewiórki —
po pniach sosen wciąż biegają
z górki na pazurek.

Stuku-puku! Piękny dzięcioł
w szafirowym fraczku
stuka, puka w pień bukowy,
szuka tam robaczków.

Sikoreczki przelatuja
z dębów na sosenki
i śpiewają, ciurlikają
miłe swe piosenki.

Do śpiewania żaden ptaszek
w lesie się nie leni.
A ileż tam jagód latem,
a grzybów w jesieni!

Ile szyszek stare sosny
zrzucają na strony!
Jakże ciebie nie pokochać,
lesie mój zielony!

J. Porazińska

A to ciekawe...



Fot. Film Polski



Fot. M. Kownacka

Pół roku temu dzieci z Koła Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej przy Ministerstwie Rolnictwa i Ref. Rol. posłały dla dzieci Ministerstwa Rolnictwa w Pradze Czeskiej paczki pierników i cukierków z wesołymi życzeniami świątecznymi.

Milenki i Janiczki zjadły nasze pierniczki. Było nam bardzo przyjemnie!

Aż tu na pierwszego maja — niespodzianka! Przychodzą dla naszych dzieci z Pragi Czeskiej dwie olbrzymie paczki zabawek!

Spójrzcie na fotografię — czego tam nie było!

Zebrały się wszystkie nasze dzieci w dużej sali; na wzniesieniu wszystkie zabawki rozstawione szeregiem, że nie wiadomo, na co wprawdzie patrzeć...

Przyglądają się dziewczynki lalkom, chłopcy kolejom i brykom, a tu wychodzi na wzniesienie jakaś miła dziewczynka z warkoczykami. W imieniu dzieci z Pragi Czeskiej pozdrawia serdecznie polskie dzieci i mówi o tym, jak się cieszy, że te znaki wzajemnej pamięci wzmocnią naszą przyjaźń.

Milenka przemawia po polsku! Nauczyła się polskiego języka, bo, jako nasza przyjaciółka, chce się z nami porozumieć.

A teraz przyjrzyjcie się, jak Piotr i Andrzej Holniccy piękną platformą, darem dzieci z Pragi, przewożą ze swojej działki na Żoliborzu rzodkiewkę.

Pomyśl chwilkę

REBUS



MĘCZYĞŁÓWKI

I

Weź trzy literki z *krawca*
i z *maków* literki trzy.
Dostaniesz nazwę miasta.
Ja zgadłem już, a ty?

II

Z podanych niżej liter ułóż dwa
wyrazy. Oto te litery: A, O, R, T, W.

III

W podanych niżej słowach prze-
stawcie zgłoski tak, aby powstały
inne wyrazy. Słowa: kaszel, słoma,
kapa, pała, Tola.

IV

Nosi mnie na głowie wół, baran,
nosi jelen — leśne zwierzę.
Dodaj mi *p* na początku,
to na ziemi u drzwi leżę.

CIEKAWY KSIĄŻKI

1. M. Kownacka — Świerszczykowy kram
2. L. Krzemieniecka — 5 Zoś
3. J. Grabowski — Skrzydlate bractwo.

WARUNKI PRENUMERATY



Cena pojedynczego egzemplarza	zł 15,—
w prenumeracie miesięcznej (2 numery)	zł 27,—
za okres od 1. IV. 49 do 30. VI. 49	zł 75,—
rocznie	zł 250,—

Szkoły przy prenumeracie zbiorowej otrzymują na każde zaprenumerowane 10 egzemplarzy jeden egzemplarz bezpłatnie.

Prenumeratorzy korzystają ze specjalnych ulg przy zakupie wydawnictw Inst. Wyd. „Nasza Księgarnia”. Należność za prenumeratę wpłacać można na konto w P.K.O. nr V-522

ADRES ADMINISTRACJI: POZNAŃ, UL. MATEJKI 66.

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: BOHDAN BOCIANOWSKI
Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.

Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.



Fot. T. Bukowski

Szybko i sprawnie koszą zboże nowe żniwiarki